Nr. 2. We Lwowie dnia 14. stycznia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„Jeszcze nie zginęła!...“

W dziewięćdziesiątą ósmą rocznicę utworzenia legjonów.

Brutalna siła zewnętrzna nie zabija narodu, posiadającego w sobie moc żywotną i warunki dalszego istnienia. Więc i Polska podnosiła się zwolna z maciejowickiego pobojowiska, zwracając blade męką czoło ku świtom nadziei. Błyskały one zdala, niepewne, migotliwe, złudne może, — ale błyskały.

Ci z pomiędzy wybranych synów ojczyzny, którzy w chwili pogromu uszli śmierci lub kajdan, do obcych śpieszyli krajów. Na dobrowolne szli oni tułactwo nie po to, aby szukać obfitszego dla siebie samych chleba, lecz aby pracować dla Polski, aby wołać głosem wielkim, że się stała »straszna krzywda polskiej włości i wszystkim wolnym ludom w ich wolności!« Turcja i Szwecja, zagrożone w swem bezpieczeństwie nagłym wzrostem sąsiedniej im Moskwy, gościnnie witały naszych pielgrzymów, dawały im chętny posłuch, nie szczędziły obietnic. Ku Francji wszakże, rewolucyjnej i zwycięzkiej Francji, zwracały się przedewszystkiem serca i umysły Polaków. Burząc trony despotyzmu, znosząc przywileje, głosiła ona szczytne hasła braterstwa ludów, obiecywała pomoc uciśnionym narodom. A któż bardziej od Poski miał prawo do tego tytułu? Zbrodnia na niej dokonana stała się w dzień biały. Na republikańskiej ziemi francuzkiej skupia się też najliczniejsza gromadka naszych wychodźców, w Paryżu powstaje pierwszy polityczny klub polski. Emisarjusze tego klubu, jako też później zawiązanego w Wenecji, śpieszą do kraju pod cudzoziemskiemi nazwiskami, w charakterze kupców, agentów handlowych, turystów. Jedni z nich, dostając się w ręce wrogów, tracą wolność, inni, szczęśliwsi, przenikają de miast i dworów, krzepią dobrą wieścią zgnębionych na duchu, budzą wiarę i nadzieję, zachęcają do działania, do pracy dla przyszłości, dla Polski!..

Za wpływem tych ludzi hartownej woli, nieugiętej odwagi, zawiązuje się w Krakowie dawnym zwyczajem konfederacja, powstają kluby w Warszawie i Lwowie. Stosunki między wychodźtwem a pozostałymi w kraju współbraćmi stają się coraz częstsze, utrzymują kraj w stanie ciągłego wzruszenia, nie dają mu zapaść w sen śmierci, jaki bywa zwykle udziałem ujarzmionych narodów.

I oto 9. stycznia 1797 r., w pierwszą rocznicę sromotnego dnia, w którym pruskie wojska zajęły Warszawę, Dąbrowski zawiera ugodę z rządem Rzeczypospolitej Lombardzkiej, a wkrótce potem za górami, za rzekami, pod słonecznem niebem Italji powstaje pierwszy zawiązek siły zbrojnej, organizuje się zastęp mścicieli.

To, o czem gorętsze tylko serca marzyły, jako z cudnej, dalekiej przyszłości, dotykalne przyoblekа kształty: Polska, skazana na zagładę, chrzęstem płomiennych oręży woła swoim i obcym, przyjaciołom i grabarzom: »Żyję!« a krwią i bohaterstwem, ofiarą i zwycięstwem świadczy, że ma do życia prawo, że nieśmiertelność zdobyć sobie potrafi!

Nad padającymi pod śmierci pokosem, aby już nie powstać z ziemi obcej, i nad tymi, których miecz mściwy a sprawiedliwy wypruwa serca z moskiewskich i niemieckich piersi, powiewa wysoko w słońcu — jak za dni wolności i chwały — srebrny ptak ze sztandaru, a z pola bitwy, zoranego kulami, bije w niebiosa marsz tryumfalny: Jeszcze Polska nie zginęła!

I leci pieśń cudna tam, dokąd biegnie myśl i dusza śpiewającego legjonisty: leci przez góry i rzeki, wolna, skrzydlata, na północ, do wielkiego więzienia, co się Polską nazywa. Nie zatrzymać jej czatom granicznym, ani murom, zamkom i ryglom nie uwięzić czarodziejki! Wraca do Ojczyzny, uwija się, niby jaskółka, miła wiosny zwiastunka, pod strzechą uśpioną, leje balsam kojący w udręczoną duszę starca, dzwonem zmartwychwstania dzwoni konającym, o błękitnych przestworach bez granic śpiewa w ciasnych zamkniętym lochach, żądzą czynu zapada w serce młodzieńca i wichrem błyskawicowym unosi go, zwodnica, lecąc z powrotem przez góry i rzeki, pod słoneczne niebo Italji, na pole bitwy, zorane kulami.

I siła zbrojna legjonów wciąż rośnie. 20 stycznia wydał Dąbrowski odezwę do rodaków, wzywając ich na szczytny bój »za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność«, a w pierwszych dniach kwietnia stało już pod znakiem białego orła sześć tysięcy wojowników — sześć tysięcy bohaterów!

Chrzest pierwszej krwi otrzymują ci waleczni, uśmierzając zbrojne bunty, wzniecane przez arystokratyczno-klerykalne stronnictwa dla obalenia rzeczpospolit, utworzonych ze zdruzgotanych tronów, podbitych królestw. Zagrożone miasta wzywają — jedno po drugiem — pomocy legji, rząd Rzeczypospolitej Lombardzkiej przesyła urzędowne podziękowanie Dąbrowskiemu, ofiarowuje mu w honorowym darze pysznego rumaka z kosztownym rzędem, ozdabia grób pułkownika Liberadzkiego, zdobywcy Verony, marmurową płytą z wymownym napisem, a bataljony dostają w znak uznania nowe sztandary.

Znacząc pochód zwycięstwami, posuwa się legja ku Rzymowi i wkracza w bramy wiecznego miasta 3 maja 1798, w siódmą rocznicę konstytucji, co miała Polskę odrodzić. Kniaziewicz, który po uwolnieniu z kijowskiego więzienia pośpieszył dzielić z Dąbrowskim trudy i chwałę na czele legji, zaciąga wartę na Kapitolu. I oto garstka wyzutych z ojczyzny tułaczy, »niemająca swej ziemi na jedną już stopę, mierzy krokiem zwycięskim zdziwioną Europę«, zasiada w charakterze zdobywców w dumnej Cezarów stolicy, gdzie konsulat rzymski składa walecznym w darze szablę, którą Sobieski obronił niegdyś Austrję od dziczy pogańskiej, oraz zdobytą przez tegoż króla w odsieczy wiedeńskiej chorągiew Mahometa.

Korzystając z dłuższego w Rzymie wypoczynku, szeregowcy legjoniści, zmieniają na wzór bohatera starożytności, Cyncynata, oręż na rolnicze narządzia, i zbrojni już tylko w kosy i sierpy, śpieszą zbierać bujne plony kampanji rzymskiej. Czas wolny od pracy poświęcają samokształceniu się, ucząc się, czytając wydawaną dla nich przez oficerów co 10 dni gazetkę, bo — jak mówi rozkaz dzienny Dąbrowskiego — żołnierz legjonista powinien zdobyć sobie szacunek świata nie liczbą zbrojnych szeregów, lecz cnotą, moralnością, wyższem, niż pospolitych żołdaków wykształceniem.

Kampanja neapolitańska, powołując legjonistów ponownie do broni, otwiera szersze jeszcze niż dotychczas pole popisu dla waleczności polskiego oręża. We wszystkich walkach, jakie 16 tysięczne wojsko republikańskie staczało z 60-tysięczną armją, dowodzoną przez austrjackiego generała Macka, Polacy szli w przedniej straży, a ostrze ich bagnetów niejednokrotnie rozstrzygało o zwycięstwie.

Najjaśniejszą wszakże chwałą okryli się legjoniści 4. grudnia pod Civita-Castellana, gdzie 6 tysięcy Francuzów i Polaków odniosło zwycięztwo nad 40 tysiącami nieprzyjaciela. Kniaziewicz rozbił w tej bitwie centrum neapolitańskiej armji, wziął 3 tysiące jeńca, 16 armat, bagaże i chorągwie, a wysłany przez niego na lewe skrzydło z dwoma bataljonami grenadjerów Białowiejski zgniótł takowe doszczętnie. Sam nawet hrabia Saski, który dowodził tem skrzydłem, dostał się, ciężko ranny, w ręce grenadjerów polskich, i jedynie dzięki niepospolitej swej odwadze zdołał ujść niewoli.

Wzięcie 22. stycznia Neapolu przez francusko-polskie wojska kładzie kres wojnie, a zwycięska Francja wznosi na gruzach feudalizmu siódmą z kolei rzeczpospolitę pod nazwą Partenopejskiej.

Jenerał francuski Championnet, pragnąc złożyć publicznie hołd męstwu i waleczności Polaków, polecił Kniaziewiczowi odwiezienie do Paryża i wręczenie Dyrektorjatowi trzydziestu pięciu sztandarów, zdobytych na Neapolitańczykach. Było to w owych czasach uważane za najwyższy zaszczyt, jaki mógł spotkać wojskowego. Kniaziewicz przyjął chlubne zlecenie z wdzięcznością, ciesząc się myślą, że blaski jego chwały opromieniają zdeptaną a wyniosłą, trzykroć mordowaną a wiecznie żywą Ojczyznę, która w mgłach swego smutku, oparach krwi i łez droższą mu była stokroć nad słoneczną Italję, zwycięzką Francję.

Kilkudniowe festyny paryskie, spowodowane przybyciem Kniaziewicza, zakończyła wspaniała uroczystość zasadzenia drzewa wolności przed pałacem Dyrektorjatu. Kniaziewicz, udarowany bronią honorową, którą to pamiątką rządy rewolucyjne, nieuznające orderów, nagradzały walecznych, otrzymał nadto listy dziękczynne od ministra wojny i Dyrektorjatu. Oba te dokumenty, jako zawierające nader pochlebne uznanie zasług, położonych przez legję, zostały jej ogłoszone przy rozkazie dziennym.

Po tryumfach groźnemi chmurami zasępiło się niebo nad armją francuską, a więc i nad nierozerwalnym z nią węzłem złączoną legją.

Monarchiczne państwa, zagrożone w swem istnieniu zwycięstwami republikańskiego oręża, utworzyły ponowną przeciwko Francji koalicję

Ich armja — bez posiłków moskiewskich — liczyła 300 tysięcy, podczas gdy Francja posiadała wówczas zaledwie 170 tysięcy na linji bojowej. Nierówność szans zwiększała jeszcze nieobecność Napoleona, który przebywał wówczas w Egipcie.

Pierwsza ze skoalizowanych państw wystąpiła na linję bojową Austrja. Obie armje spotkały się 24 marca nad Adygą. Legja, walcząc w przedniej straży, dokazywała cudów męstwa. Bagnet jej wyparł nieprzyjaciela za rzekę i pędził go aż pod Veronę. Ale świetne zwycięstwo okupują Polacy stratą kilkuset szeregowców i wielu oficerów. Między tymi ostatnimi zginął waleczny pułkownik Darewski w chwili, gdy zdobywał bagnetem armatę. Niegdyś barszczanin, później kościuszkowski żołnierz, pośpieszył Darewski, pomimo lat 70ciu, jak stary orzeł, na nowe boje, a idąc pierwszy w ogień, zapalał szczytnym przykładem młodszych towarzyszy. Osobnym listem, przesłanym na ręce Dąbrowskiego, Dyrektorjat, dziękując Polakom, w pochlebnych podniósł wyrazach mężne ich zachowanie się w dniu 26 marca.

W bitwie pod Magnano dnia 5. kwietnia, nieszczęśliwej dla francuskiego oręża, legja, walcząc z zażartością rozsrożonego lwa, traci tysiąc żołnierza w zabitych, rannych lub jeńcach. Poległ w tym dniu krwawej pamięci waleczny generał Rymkiewicz, a ostatniem jego westchnieniem były słowa: »Czemuż w ojczyźnie nie mogę umrzeć!«

Po przegranej pod Magnano Wielhorski dostaje rozkaz pozostania z drugim legjonem w Mantui, w kilkumiesięcznej obronie twierdzy traci trzy tysiące ludzi, a resztę niecny komendant francuski wydaje przy kapitulacji Austrjakom na pastwę ich zemsty i gwałtów.

Dąbrowski tymczasem na czele pierwszego legjonu walczy w otwartem polu przez 14 miesięcy wśród warunków jak najtrudniejszych, które się bardziej jeszcze pogorszyły, gdy 14 kwietnia nadbiegł na pomoc Austrjakom groźny Suworow, wiodąc ze sobą 40 tysięcy doborowego wojska.

W walce z wrogami ojczyzny zdobywa teraz legja nowe laury, a za każdy płaci krwią i życiem bohaterskich towarzyszy. Przy zdobyciu Kortony ginie, wraz z wielu innymi, major Kamiński. Pomimo ciężkiej rany, odebranej w pierwszej niemal chwili, prowadzi on brocząc krwią, oddział swój do ataku, a gdy granat urwał mu i drugą nogę, czołga się na rękach i kolanach, do ostatniej kropli krwi służąc sprawie, którą poślubił.

W kolosalnych bitwach nad Trebją, pod Novi, koło Genui i innych, którym podobnych niewiele zna historja, Polacy składają dowody nadludzkiego niemal męstwa, bohaterskiej pogardy śmierci i okrywają się nieśmiertelną chwałą, ale ponoszą zarazem dotkliwe straty. Sam Dąbrowski, znajdując się w ciągłym ogniu, parokrotnie zostaje rannym, a w bitwie pod Bosco ocala mu życie »Historja Trzydziestoletniej wojny« Szyllera, którą miał w bocznej kieszeni munduru i w której uwięzła kula, wymierzona w serce hohatera. I nietylko moskiewskie, austrjackie i angielskie bagnety siały spustoszenie w szeregach legji — przerzedzała je również nędza. Cała armja francuska znajdowała się wówczas w opłakanym stanie, ale Polakom przypadły w udziale najsroższe męki. »Ponosiliśmy nędzę, przechodzącą wszelkie pojęcie — pisze Dąbrowski w swym pamiętniku — żołnierze byli niepłatni, bez obuwia, bielizny, a nawet mundurów; rozlokowani w okropnych górach i dzikich skałach, wystawieni na deszcze, śniegi i mrozy, pozbawieni niekiedy żywności tygodniami, a wówczas zmuszeni żywić się korzonkami leśnymi, nie mieli oni nadto ani chwili wypoczynku, znajdując się zawsze w obecności nieprzyjaciela«.

Kiedy się to działo we Włoszech Kościuszko i Kniaziewicz czynili w Paryżu zabiegi nad utworzeniem nowej legji polskiej nad Renem. Jakoż sformowała się tam ona wkrótce i wspólnie z armją francuską, na której czele stał jenerał Moreau, sławne pod wodzą Kniaziewicza staczała boje. Czyny nawet szeregowców z nowej tej legji, zwanej naddunajską, godne przejść do najdalszej potomności, jako uszlachetniające duszę ludzką wzory bohaterstwa. Czyż bowiem nie zasługuje na miano bohatera ów ułan Pawlikowski, który w bitwie pod Hohenlinden położył trupem austrjackiego kapitana i porucznika, a złożony z 57 szeregowców oddział ich wziął w niewolę sam jeden bez niczyjej pomocy, i nie przyjął w nagrodę ani stopnia oficerskiego ani znacznej kwoty pieniężnej, bo — jak tłumaczył zdumionym Francuzom — nie dla złota i zaszczytów biją się Polacy, lecz za wolność i ojczyznę? Czy nie na bajecznego też śmiałka zakrawa grenadjer Trandowski, co pod Salzburgiem zakłada się z kolegami o halbę wina, że porwie z konia księcia Lichtensteina, przyglądającego się ze wzgórza w otoczeniu swego sztabu bitwie i wygrywa zakład? Jako żywo: łzę żalu nad tragicznym losem naszych legjonów osusza z powiek szybko płomień zapału dla czynów, którymi głosiły one przed światem sławę polskiego imienia!

Przybycie do Włoch Napoleona na czele świeżych zastępów w maju 1800 r. przechyliło szalę powodzenia na stronę Francuzów i szereg zwycięztw, zakończony arcysławną bitwą pod Marengo, uwolnił Italję od wojsk koalicji.

Wkrótce potem, 26 stycznia 1801 r. strony wojujące podpisały w Lunevilu traktat pokoju. Napoleon nie życzył sobie dalszej wojny z monarchami, bo z obrońcy wolności miał się przedzierzgnąć w jej gnębiciela i przyćmić gwiazdę genjuszu, która płonęła nad jego czołem, cesarską koroną. Wobec tego legjony polskie, które liczyły wówczas 15 tysięcy wyborowego wojska, były mu już niepotrzebne, owszem kompromitowały go w oczach państw rozbiorczych; postanowił przeto je zniszczyć. Jakoż część ich odesłano wkrótce pod nazwą cudzoziemskich

brygad do południowych Włoch, a koło 6 tysięcy legjonistów wsadzono pod groźbą dział na okręty i wysłano na San Domingo, gdzie ginęli od broni Murzynów, wymierali gwałtownie na żółtą febrę i skąd do Europy wróciło ich 400 zale!wie.

* * *

Tak się przedstawiają, w dwóch słowach opowiedziane, dzieje pierwszych naszych legjonów. Wrogie okoliczności nie pozwoliły urzeczywistnieć marzenia, które im przyświecało gwiazdą zaranną w bojach i zawodach, zwycięztwach i śmierci: nie odbudowali Polski, ale wysiłki ich nie poszły na marne. Rycerska ich sława podnosiła w strasznych dniach klęski ducha w rozdartym narodzie, zwycięzki oręż późniejszych legjonów wywalczył Księstwo Warszawskie i Królestwo kongresowe, a pieśń ich wiodła, jak sztandar, do boju zbrojne szeregi obrońców wolności w r. 1831 i 1863. Więc też wdzięczna ojczyzna zapisała imiona tych wybranych synów za złotej karcie swych dziejów, a zstępne pokolenia otaczają korną czcią pamięć bohaterów, którzy zostawili im w spuściznie tyle »sławy, nadzieji, że staną się zdolni rozerwać jarzmo i umierać wolni!«

M. Wysłouchowa.

Młodzież — o roku żałoby.*

Żadne sofizmaty, zwalczające żałobę narodową twierdzeniem, »że żałobę obchodzi się tylko po umarłych, a naród nie umarł, lecz żyje« — nie zmienią dla nas tego faktu, że w r. 1795 naród polski stracił odrębność państwową, najdroższy skarb każdego żyjącego społeczeństwa, najskuteczniejszą dźwignię pomyślności ekonomicznej, rozwoju umysłowego i cnót obywatelskich.

O tem, że naród żyje, sami wiemy najlepiej, bo życie jego czujemy we własnem sercu; ale właśnie dlatego uważamy za swój obowiązek przypomnieć całemu światu, że na cały przeciąg stu lat ostatnich patrzymy jak na wielką przerwę w historycznym rozwoju tysiącletniego społeczeństwa.

Żałobę narodową stawiamy bez porównania wyżej od wszystkich innych obchodów i sądzimy, że poprzećby ją powinni nawet ci, którzy wszelkim demonstracjom z reguły są przeciwni. Wszelkie uroczystości dotychczasowe — nabożeństwa czy publiczne pochody — łączyły się zawsze z jakąś akcją, z jakiemś czynnem wystąpieniem, i dlatego nie mogły, nieraz wbrew woli swoich twórców, obejść się bez krzyków i rozgłosu. Żałoba narodowa, jako taka, akcji żadnej nie wymaga; nie polega na żadnem działaniu, lecz na wstrzymaniu się od pewnych czynności (t. j. od hucznych balów), jeżeli więc będzie demonstracją, to demonstracją cichą, spokojną, milczącą, — cichszą, niż tańce i zabawy tych, którzy się jej sprzeciwiają.

Ciężki los braci naszych pod sąsiednim zaborem nadaje naszemu obchodowi podwójne znaczenie. Będziemy obchodzili żałobę i po tych, którzy przed 100 laty cierpieli dla narodu, i po tych zarazem, którzy teraz dla niego cierpią. Będziemy ją obchodzili i za siebie i za nich, we własnem i w ich imieniu; bo im nawet smutku swego nie wolno objawiać tak, jakby tego pragnęli. Nie lękamy się przez to pogorszyć ich losu ani też popchnąć ich do nierozważnych działań. Jesteśmy głęboko przekonani, że zemstę gnębicieli daleko łatwiej rozdmuchać mogą nieustanne artykuły umiarkowanych dzienników, nieumiejące zdobyć się na bezstronność nawet w omawianiu czysto rosyjskich stosunków, niż cicha, czysto negatywna demonstracja; stosunek zaś Galicji do Królestwa pojmujemy nie jako stosunek mistrza do ucznia, lecz jako stosunek młodszej braci do starszej, i dalecy jesteśmy od zarozumiałego przypuszczenia, iżby nasze manifestacje miały tam znaleźć ślepych naśladowców.

Po stu latach pracy nad charakterem narodu, po tysiącznych deklamacjach o odrodzeniu społeczeństwa przez pracę organiczną potrzeba nam ogniowej próby. Nie będą nią same składki, choćby najpomyślniejszym uwieńczone skutkiem, bo one świadczyć mogą tylko o dobrobycie materjalnym i o zwiększonej wraz z cywilizacją ofiarności, która u wolnych, szczęśliwych społeczeństw daleko szybszym postępuje krokiem. Próby takiej nie dostarczą również nabożeństwa, śpiewy kościelne i historyczne odczyty, którymi przeciwnicy nasi pragną uczcić żałobną rocznicę; w najlepszym razie będą te tylko czyny energicznej mniejszości, objawy rzutkości jednostek, przy biernym udziale ogółu. Tylko żałoba narodowa może być probierzem całego społeczeństwa. Od wszystkich zarówno, od najwyższych i najniższych, od najwykształceńszych i najmniej wykształconych żąda ona jednakowo czynnego współdziałania i jednakowego poświęcenia, najsłabsze i najsilniejsze charaktery na równą wystawia próbę; a jak u człowieka poszczególnego odmówienie sobie jakiejś przyjemości jest najszczytniejszym dowodem doskonałości moralnej: tak zbiorowe zaparcie się całego społeczeństwa świadczyć będzie najwymowniej o jego duchowem odrodzeniu, o sile jego woli, o hartcie jego charakteru.

* Powtarzamy w tem miejscu — w głównych ustępach — artykuł redakcyjny »Czasopisma Akademickiego«, nowo powstałego we Lwowie organu młodzieży. (Przyp. Red.)

PROSTA OPOWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

— Aha, to proboszcz słucha cię spowiedzi?

— Niby ta... jaśnie naczelniku... niby latoś, na Wielkanoc, nie mógł... powiada, że jakieś pisanie przyszło od urzędu... i nasze najmłodsze jeszcze nie ochrzczone...

— I pocóż się tak upierasz i nie słuchasz rozporządzeń władzy? Czemu nie chodzisz do cerkwi? Czy chrzest w niej nie tyle wart, co chrzest w waszym kościele?

— Jaśnie naczelniku, ale nasz syn Franek ochrzczony był w naszym kościele i chcewa go pochować na naszym cmentarzu...

— Głupiś! przecież tu, czy tam, jednakowo przysypią go ziemią i... basta! Mnieby tam wszystko jedno było, gdzie mnie pochowają. Jestem prawosławny, ale jak umrę, niech sobie ze mną robią, co im się spodoba.

— Dyć, kiej to wszystko jedno, to niech jaśnie naczelnik da pozwoleństwo... Pan Bóg to jaśnie naczelnikowi nagrodzi...

Czoło naczelnika zachmurzyło się jeszcze bardziej.

— Właśnie dlatego, że się opierasz i buntujesz, nie dam ci pozwolenia. Dosyć, wynoś się! no — prędko!

Oczy chłopa mgłą zaszły. Zbladł strasznie, usta mu drżały, kolana zachwiały się pod nim.

Naczelnik patrzył na niego drwiąco i wzruszył ramionami.

— Bydlę! — syknął przez zęby. — Coprawda, to choćbym i chciał, to i tak nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz, — to nie odemnie zależy.

— Ino od kogo? — zapytał Błażek z wyrazem bezmiernej rozpaczy.

— Od prawosławnego konsystorza w Chełmie.

— A kaj go naleść, mój Boże, tego jaśnie konsystorza?

— W Chełmie, wiesz? miasto Chełm. Tam trzeba ci pójść do kancelarji samego a r c h i r e j a. Może ci pozwolą pozostać katolikiem, ale wątpię, pewnie nic nie wskurasz, bo przecież to jasne, że twoja rodzina pochodzi z unitów. Widzisz, nawet i proboszcz tak sądzi, skoro cię nie chce więcej spowiadać.

— To nie on nie chce! — krzyknął chłop, zapominając się, — to ten psia-jucha pisarz, to on, utrapieniec przewąchał, że niby to mój dziad ochrzczony był w unickim kościele, i wziął i powiedział to popu. Na ś-ta Jadwigę, jakem go spotkał na rynku, to on do mnie: — Jak się mata, gospodarzu, a mata dwadzieścia pięć rubli dla mnie? — A ja mu na to: — Czy to pan pisarz myśli, że mnie kury ruble znoszą, czy co? — A on tylo patrzy i znów powiada: — Abo mi dacie dwadzieścia pięć rubli, abo was zapiszę jakoście prawosławni. Myślałem, że on ino żarty stroi, jak zawdy, kiej chce, żeby mu gorzałki kupić, a tu...

— Jak się nazywa ten pisarz? — przerwał naczelnik.

— To ten z Korabiny.

— Może Siergiejewskij?

— Juści on.

— Hm, trudno, trzebaż i jemu dać żyć.

— To ja już nie najdę sprawiedliwości u jaśnie naczelnika?

— Ośle! powtarzam ci po raz setny, że to odemnie nie zależy. Ja nie jestem popem!

Pan naczelnik wymówił słowo »pop« tonem pełnym pogardy.

— Rany boskie! — jęknął Błażek — trza mi taki świat drogi jechać!

Pokłonił się nisko naczelnikowi, ale ten już nie patrzył na niego. Wpadł właśnie mały, czarny piesek i zaczął się łasić do swego pana. Naczelnik głaskał go, ciągnął za uszy, pieścił, nazywał czule, wyraz surowy i oficjalny zupełnie znikł z jego oblicza.

Błażek przeszedł podwórze, trzymając czapkę w ręku, dopiero na ulicy ośmielił się nasunąć ją na oczy.

— Kaj się tera obrócić? — myślał — a przecieć Franek zasłużył sobie, żeby mu ojciec trudu nie żałował... Niech się stanie wola boska!... Bóg dał lato, będę jechał całą noc.

Napoił konia, kupił bocheneczek chleba i wypytawszy o drogę, ruszył szparko z miejsca.

Księżyc świecił jasno. Srebrna jego tarcza rzucała na drogę smugę białego, łagodnego światła. Błażek mijał wsie i lasy, nie zatrzymując się ani na chwilę, nie oglądając się nawet za siebie.

Ileż to ludzi żyje na tej bożej ziemi! ile to przeróżnych rzeczy na niej się znajduje! Ale on, w swojej żałości, widział jeno tę pustę izbę — i słomę — i Franka...

Jakże to dziecina z własnej krwi i kości jest dla człeka drogą — milszą kiej wszystko na świecie! Tak już Pan Bóg dał i tak zawdy będzie... a stracić dziecko... to właśnie jakby ci duszę wydzierali... Oj, okrutnie żal Franka.. taki był g a l a n t y... Ach, Matko Przenajświętsza! żeby choć można było pochować go uczciwie. Coby on, nieboże, pomyślał, żeby go tak złożyli pomiędzy obcymi? Nie, nie dam cię, synaczku mój miły, nie dam!

W głowie Błażka myśli te przesuwały się bezustannie.

Południe już było, kiedy przybył do Chełma. Zaraz jął wypytywać o kancelarję biskupa.

Mały, usłużny żydek, domyślając się, że chłop ma trochę grosza w sakwie, chętnie dał żądane objaśnienia. O cel przybycia nie pytał Błażka wcale. Czyż nie widział tu co dnia całych tłumów, złożonych z wieśniaków zrujnowanych i wynędzniałych, którzy przychodzili z rozpaczliwą iście zaciekłością, graniczącą z heroizmem?

Po chwili, gdy Błażek zbliżał się do biura diecezjalnego (eparchjalnego), zabrzmiały naraz dzwony we wszystkich cerkwiach miasta. Było te zwykłe, charakterystyczne dzwonienie w kościołach prawosławnych. Niezgodne pomiędzy sobą dźwięki huczały z całą siłą, jakby usiłując przygłuszyć się wzajemnie.

Chłop zatrzymał się, złożył ręce, podniósł oczy w górę i mruknął do siebie:

— Moskale to nawet uczciwie dzwonić nie umieją... kiej w naszym kościółku zadzwonią, to aż cię coś za serce chwyta... a to... iście kieby się baby na jarmarku kłóciły!

Przed drzwiami kancelarji stało jakieś indywiduum, bynajmniej nie wzbudzające zaufania. Odziane w brudny, zniszczony jakiś mundur, twarz miało pijacką, obrzękłą, a głowę nakrytą czapką oberwaną, na której i śladu pierwotnej barwy nie zostało. Zoczywszy Błażka, obdartus przybrał wyzywającą minę.

— Czego tu szukacie? — zapytał, ujmując się pod boki.

— A kaj się tu idzie do biskupa?

— Tu n i e l z i a nikomu wchodzić, trzeba zapłacić.

— A siła?

— Rubla.

— Rubla!? a skądże chceta, żebym ja wziął tego rubla? juże tyle musiałem płacić...

Zapuścił palce w skórzany woreczek, umocowany u pasa i z trudem wydobył nowiuteńką dwudziestokopiejkówkę. Ta wysunęła się z grubych palców chłopa i znów zniknęła w woreczku. Obdartus śledził niespokojnym wzrokiem walkę pomiędzy napracowanymi palcami wieśniaka, a wymykającą się im gładką monetą.

— Niewiela mi pozostało! — westchnął Błażek.

Uchwycił wreszcie pieniądz i gniótł go teraz w ręku.

— Ach, żebyć on się w rubla przemienił! — myślał.

Ale obdartus nie rozumiał widocznie, do czego te długie ceremonje, zniecierpliwiony wyrwał pieniądz z ręki Błażka i rzekł:

— No idźcie, na prawo — słyszycie? po schodach na prawo, tam na drzwiach napisane.

Wieśniak znalazł się naraz w ciemnym prawie, wązkim kurytarzu. Z nieśmiałością obejrzał się na prawo i lewo i wszedł na wskazane schody.

Biedny Błażek! sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Obce miasto, ogłuszające dzwonienie, myśl, że z tymi popami będzie musiał gadać... to wszystko — omal pozbawiało go przytomności.

I stanęło mu w myśli, jak to, w długie wieczory zimowe, prządka bajki opowiada. Przypomniał sobie, jak nieraz, z lękiem i niepokojem w duszy, słuchał, kiedy wieczornica w ten sens opowiadanie swoje ciągnęła: »Idzie, idzie... i znów idzie, idzie...« Zawsze przy końcu takiej długiej drogi czyhało na wędrowca coś strasznego, jakaś nieczysta siła, smoki, czy przepaście... Błażek pomyślał, że i on tak idzie, idzie — i co go w końcu czeka? A może Bóg wszechmogący da, że jemu właśnie, jak owemu trzeciemu synowi w bajce — który nieodzownie musiał być głupi — wszystko się uda i na dobre obróci. Kto wie?

Ujął za klamkę. O, gdyby się tak zamienić w myszkę małą i bez szelestu się przesunąć? A tu i skrzypiące drzwi, i ciężkie, podkute buty Błażka tyle czynią hałasu!

— Cóż tam za bydlę idzie? — zapytał po rosyjsku jakiś pan, siedzący za stołem, nie przerywając drapania po papierze.

— Wielmożny panie...

— Czego?

— Wielmożny panie, zapisali mnie w książki, że niby ja jestem prawosławny.. to nieprawda, mój ojciec i mój dziad i my wszyscy jesteśwa...

— A to prawdziwe utrapienie z tem chłopstwem! — przerwał niecierpliwie urzędnik — masz jakie dowody?

— Nie, nie mam, ino pamiętam, wedle Zielonych Świątek, jak mój dziadek umarli...

— Masz papiery, metrykę? o to pytam!

— Kajże jej miałem szukać? i nie wiedziałem i czasu nie stało... przecież to lato, nie można długo ciała trzymać.

— Cóż u djabła gadasz mi znów o ciele? tylko co powiedziałeś, że twój dziad umarł na Zielone Świątki.

— O Jezusie! dyć to nie mój dziad, a syn, Franek... dobrodziej nie chce go pochować, mówi, co trza pozwoleństwa od urzędu, abo naczelnika.

— Jeśli nie masz ze sobą metryki, to ruszaj do domu! Nie rób głupstw, zanieś twego syna na cmentarz prawosławny i skończyło się!

— Wielmożny pa... jaśnie panie! niech się wielmożny pan zmiłuje nademną! to był taki dobry syn...

— Słuchaj, ty barania głowo! tu ci nic płacze i lamenty nie pomogą, darmo krzyczysz mi nad uszami. Wynoś się, bo inaczej każę cię wyrzucić!

Chłop wyprostował się. Blady był, jak wapno na ścianie.

— Cóż to, myślita, że ja nie znajdę sprawiedliwości? myślita, że ja dam zabrać sobie dziecko moje rodzone? że dam mojego Franka pochować w obcej ziemi?

Głowę podniósł wysoko i niezważając już na stuk grubych butów, wyszedł, zatrzasnąwszy z łoskotem drzwi za sobą. C. d. n.

WŁADYSŁAW PODKOWIŃSKI.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Zmarły przed kilku dniami artysta, należał do najczynniejszych warszawskich malarzy ostatniej doby, był on również jednym z najwybitniejszych talentów młodego pokolenia.

Talent i to niepośledni tryskał z każdego dzieła Podkowińskiego, nadając mu wartość artystyczną, pomimo często powtarzających się dziwactw w twórczych pomysłach a chorobliwej fantazyjności wykonania.

W jego utworach uderzała na pierwszy rzut oka nie wartość obrazu, lecz przedewszystkiem niezwykły temperament ich twórcy i tam nawet, gdzie dzieło sztuki nie było na wysokości wymagań surowszej krytyki, temperament ten zaciekawiał znawców, a również — jak to miało miejsce z największym jego dziełem »Szał« — potrafił zelektryzować i porwać szerszą publiczność.

Podkowiński bardzo młodo poświęciwszy się malarstwu, jeszcze w szkole rysunkowej uchodził za cudowne dziecko — cudownem dzieckiem pozostał do końca swej wędrówki życiowej. Znając go, nie chciało się wierzyć, że ten, pełen zdrowia, o rumianej twarzy a śmiejących się oczach chłopak miał dwadzieścia ośm lat, że był w całej pełni sił męskich, w okresie życia, w którym większość artystów dochodzi do punktu kulminacyjnego rozwoju, do zupełnego opanowania swych środków i zrozumienia dróg własnych.

Ani równowagi dojrzałego malarza, ani jasnego uświadomienia w swym umyśle celów, które mu miały przyświecać, Podkowiński nie zdobył — zachował atoli w głębi swojej duszy, rzecz może znacznie większej wagi — zapał młodzieńczy. Szedł przez całe życie siłą pierwszych porywów. Natura wrażliwa artysty, jak gąbka, wsiąkała w siebie rozmaite prądy i ideały chwili w swym nagłym pochodzie migotliwem światłem łudziły rozkochanego w sztuce młodzieńca, nie dając mu możności wytchnienia, zanalizowania swych wrażeń, skupienia w jakąkolwiek całość rozproszonych pierwiastków.

Z właściwości swej organizacji artystycznej Podkowiński był rysownikiem. To był właściwy jego kierunek i w dziejach rozwoju naszej sztuki ostatnich dni, pozostaną jego w tym kierunku usiłowania. Swiat przedstawiał mu się nie w kolorowym kalejdoskopie zmiennych barw, lecz pod postacią brył i płaszczyzn, które doskonale odczuwał i umiał scharakteryzować linję i modelację. Liczne, szczczególnie w pierwszych latach jego pracy samodzielnej powstałe rysunki, noszą cechy doskonałego zrozumienia przez artystę swego zadania, szczerej dążności w odtwarzaniu natury drogą sumiennych studjów. Ilustratorem w prawdziwem znaczeniu tego słowa nie był, lubo wielką ilość ilustracji pozostawił; są to raczej obrazy rysowane.

Z drogi rysowniczej zwrócił autora »Tańca szkieletów« — Paryż. W Paryżu pod wpływem otoczenia, wobec sztuki francuskiej Podkowiński czuje się malarzem i odtąd przez lat sześć ostatnich stale idzie tą drogą.

Droga ta jednak, jak dla niego, była nadzwyczaj ciężka; nie był do niej fachowo przygotowany. Bardzo sumienne studja rysownicze, które tak w warszawskiej szkole rysunkowej jak i w petersburskiej akademji przechodził, nie były w następstwie wzmocnione studjami malarskiemi.

Artysta nasz rozwija się, jako malarz, w szeregu obrazów, w oczach publiczności. Brak wyrobienia technicznego zastępuje on werwę i siłą, płynącą z gorącego przekonania.

Wśród mnóstwa pozostawionych przez Podkowińskiego utworów — osobne miejsce należeć się będzie kilku krajobrazom, w których pod pokrywką umyślnie brutalnej techniki, wśród tonów niesharmonizowanej całości bije tętno życia, przemawia prawda własnym swym językiem. Znać zawsze prawdziwego malarza rzeczywistości, który nawet w ideach skrajnie jej przeciwnych, odnajduje pierwastki, odpowiadające potrzebie swej wewnętrznej.

Główną zaletą portretów Podkowińskiego była ich strona rysunkowa. Wizerunki »Panny W. K.«, »Pani E. K.« oraz »Pani S. M.« są bardzo subtelnie narysowane i mają dużo tej strony, którąby najlepiej modernizmem scharakteryzować można, inne, jak np. poety Jankowskiego i oraz niedawno wystawiony portret »profesora Dybowskiego« są o wiele słabsze.

Obok prac portretowych i krajobrazowych, które prawie zawsze nosiły cechy studjów — Podkowiński pozostawia kilka szerszych kompozycji. Są niemi: »Taniec szkieletów«, »Ironja«, »Szał«, »Bajka«, i niepokończone: »Pogrzeb«, oraz »Zmartwychwstanie Chrystusa«. Prawie wszystkie one odznaczały się wybujałą, chorobliwą jakby fantastycznością treści obok dowolności w wykonaniu. Był to jakby romantyczny kwiat, zaszczepiony na drzewie »fin de siècle'u.

Artysta, który niepospolitym swym talentem zapowiadał się niezwykle, człowiek, który przed rokiem jeszcze mógł być upostaciowaniem zdrowia i siły, zmarł przedwcześnie, zwalony ręką nielitościwego losu. Wielki romantyk w życiu, przez pryzmat poetycznej młodości patrzący na wszystko, nie znalazł dość siły moralnej w sobie, aby borykać się z przeciwnościami; pierwsze wstrząśnienie, pierwsza burza ugięła to czoło, które do aureoli sławy przeznaczone było i odtąd szedł już ścieżką życia jak automat, obcy dla świata, wśród którego istniał. Nagle rozwinięte suchoty nie pozwoliły urzeczywistnić nadzieji, które wszyscy ci, co znali Władysława Podkowińskiego, w nim pokładali. Zmarł, pozostawiając wśród wszystkich żal prawdziwy...

Rozbiory i sprawozdania.

»Kult pamięci Adama Mickiewicza w Karolowych Warach.«. — Czerniowce 1894. Str. 31.

Znany bjograf historyka Henryka Schmitta i autor kilku prac historycznych. Walenty Ćwik (pseudonim Chołodeckiego), bawiąc w Karolowych Warach, skorzystał ze swego tam pobytu i zaglądnął do domu, w którym niegdyś — w r. 1829 — mieszkał wieszcz nasz, Adam. Dom ten znajduje się przy ul. Neue Wiese, a godło jego »Pfeil«. W domu tym mieszkał Mickiewicz na drugiem piętrze w pokoiku oznaczonym numerem 4. Pokoik skromny ozdobiony portretem wieszcza i meblami, których ongi jeszcze używał. W r. 1870 Odyniec i Aleksander Przezdziecki, bawiąc w Karolowych Warach założyli w domu tym na pamiątkę pobytu tamże Adama księgę pamiątkową, oprawioną w skórę, z klamrą na klucz zamykaną, znakiem A. M. na okładce i datą 1829—1870 na klamrze. Ta właśnie księga stanowi przedmiot, któremu Walenty Ćwik poświęca swą najświeższą rozprawkę.

Na pierwszej karcie tej księgi znajduje się list Adama, pisany do Odyńca w sierpniu 1829, dalej na 202 stronicach znajdują się podpisy, zdania, myśli i uwagi, rodaków i kilku Sławian, którzy dom ten umyślnie zwiedzali. Tak więc mamy tu przedewszystkiem wierszowaną odezwę Odyńca do zgasłego mistrza, dalej wiersz J. W. Jaśkowskiego, modlitwę Kraszewskiego, wiersz Al. Chodźki, kilka wierszy Seweryny Duchińskiej, czterowiersz Bałuckiego i innych. Z obcych znajduje się w tej księdze nazwisko Edwarda Jelinka.

Na końcu swej rozprawki podaje autor wiadomości i bliższe szczegóły o komitecie, który się zajął konserwacją domu Mickiewicza i zbiera składki w tym celu.

Z ruchu piśmienniczego.

»Początek, przyszłość i koniec ziemi, przez Erazma Majewskiego«. (Warszawa 1895. str. 184).

Autor rozbiera tu hypotezy o zamarciu kuli ziemskiej. »Wszystko na świecie przemija« — zaczyna autor na wstępie i odrazu przestrzega czytelnika, że i ziemia zaginąć kiedyś musi. W następnych rozdziałach opowiada o początku świata i powstaniu słońca i planet, o możliwem zgaśnięciu słońca, o możliwym upadku ziemi na słońce, lub księżyca na ziemię, o spotkaniu się z kometą, o zamarznięciu ziemi, wyschnięciu mórz, ubywaniu powietrza i t. d. Pracę p. Majewskiego, czyta się z łatwością i pożyt iem.

»Mechanika doświadczalna. Wykład Roberta S. Balla, tłómaczenie z angielskiego Stanisława Kramsztyka«. (Warszawa 1895. str. 415).

W przedmowie do tego dzieła tłómacz objaśnia, że powstało ono z szeregu odczytów, które w r. 1870 profesor Ball prowadził w kolegjum naukowem dublińskiem, w Irlandji. Odczyty te odbywały się wieczorami i przeznaczone były dla słuchaczy, nie posiadających nawet średniego wykształcenia, przeważnie dla rzemieślników. Praca przeto prof. Balla nie jest zestawieniem teoretycznych rozważań, ale raczej wykładem całego szeregu praktycznych doświadczeń, z których z łatwością wysnuwa słuchacz prawa mechaniczne. Ozdobione przeszło stu rysunkami dzieło to odznacza się wielką przystępnością.

W *Prawdzie* Aleksander Świętochowski rozpoczął druk najnowszego swego utworu p. t. **»Duchy«.**

Jadwiga Chząszczewska: **»Opowiadania Ciotuni«.** Z obrazkami. Warszawa, u Maurycego Orgelbranda. 1895 str. 213. Jestto pierwsza książeczka bibljoteki p. t. »Promyki«, przeznaczonej dla młodzieży.

Wyszedł w Moskwie w tłumaczeniu W. M. Ławrowa a nakładem *Russkiej myśli* tom utworów Elizy Orzeszkowej p. t. **»Powieści i Opowiadania«** Tłómaczenie odznacza się literacką wartością.

»Żłobek«. Pod tym tytułem ułożył już dawniej i wydał w r. z. X. J. Łabaj przedstawienie sceniczne w 3 odsłonach na uroczystość Bożego Narodzenia, zestawione z dobranych kolęd, między które wsunięto kilka utworów X. Antoniewicza. Świeżo wydanym został powtórnie *Żłobek* ten, opatrzony odpowiedniemi melodjami, które harmonizował i do towarzyszenia na harmonium lub fortepianie ułożył p. Stanisław Niepielski, z zawodu organista.

Prof. J. O. Sędzimir: **»Nauka języka polskiego«.** — »Nauce polskiego języka w gimnazjum — mówi autor w przedmowie — brakuje ważnej pomocniczej książki dla młodych nauczycieli tego przedmiotu: teorji i opracowań piśmiennych ćwiczeń polskich«. Praca p. S. ma zaradzić tej potrzebie. Książka liczy 135 str., drukowana w Złoczowie.

PRO MEMORIA.

17 stycznia 1826. Senat Królestwa Polskiego wyraża w adresie żal po śmierci »wskrzesiciela Polski« (!) Aleksandra I., a zarazem radość (!) ze wstąpienia Mikołaja I.

17 stycznia 1874. Moskwa nawraca unitów w Drelowie (gub. lub.). Z włościan, broniących kościoła, kilkudziesięciu otrzymało rany, a 5 padło pod kulami trupem. Nazwiska ich: Semen Paluk, Teodor Bocian, Andrzej Charytoniuk, Jan Romaniuk, Paweł Kozak.

20 stycznia 1826. zmarł w Warszawie Stanisław Staszic.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.